

Aktorka z lalkami

Z lalkami przemierza szkoły, domy dziecka i szpitale, dając dzieciakom radość.

– Ważne, by to, co robię, miało sens. Nie tylko dla mnie – zaznacza Sylwia Oksiuta-Warmus, aktorka Teatru im. Adama Mickiewicza.

ZUZANNA SULIGA

ZUZANNA SULIGA: Z dumą podkreśla pani, że jest absolwentką słynnego Wydziału Sztuki Lalkarskiej w Białymstoku. Skąd taki pomysł na studia?
SYLWIA OKSIUTA-WARMUS: To, nie tylko według mnie, najlepsza szkoła lalkarska w Polsce. Mam więc powody do dumy. Wychowywałam się na wsi pod Białymstokiem. W podstawówce brałam udział w różnego rodzaju występach teatralnych, a w liceum (II LO im. Anny z Sapiehów Jabłonowskiej w Białymstoku - ukończyła je np. aktorka Anna Romantowska) chodziłam na zajęcia koła teatralnego Bez Maski. Równocześnie uczęszczałam do białostockiego Teatru Klaps Antoniny Sokołowskiej [ta nauczycielka, reżyserka i scenarzystka wychowała całe pokolenia aktorów z Justyną Sieńczyłło, Adamem Woronowiczem i Katarzyną Herman na czele - przyp. red.], to tam dowiedziałam

się o wydziale. Złożyłam papiery. Plan „b” w postaci filologii polskiej nie był konieczny, dostałam się za pierwszym razem. To były fascynujące cztery lata. Noce spędzone w szkole, wyjazdy na festiwalu lalek, Międzynarodowe Festiwale Szkół Lalkarskich w samym Białymstoku, zajęcia, które rozwijały wyobraźnię, spotkania z teatrem formy, jeden z dyplomów robiony u Leszka Mądzika (założyciela Sceny Plastycznej KUL)... Tam dowiedziałam się, że wszystko może być wszystkim. Taka - dajmy na to - parasolka dzięki twojej kreatywnej wyobraźni staje się karuzelą, kołem, stworem, szal - wężem, a serweta, która leży na stole, może nagle zacząć np. oddychać albo polecieć niczym ptak...

O teatrze lalkowym mówi się ciągle jako o czymś gorszym, będącym całe piętra niżej niż teatr dramatyczny.

- Polski teatr lalek wciąż mam wrażenie bardziej ceniony jest na świecie niż w kraju. Nie rozumiem tego. Na szczęście to się zmienia. Niszowa dziedzina teatralna jest w pewnym sensie i elitarna, i unikatowa. Na wydział lalkarski w Białymstoku trafiali - przynajmniej za moich czasów - w większości ludzie z pasją, którzy coś już wiedzieli w tym temacie i chcieli świadomie iść w tę stronę. Tak było w moim przypadku. Otrzymaliśmy dyplomy w dwóch językach. Uniwersalizm teatru lalek/formy z pewnością nie ogranicza, a poszerza horyzonty. Podpisuję się pod tym i uzyskanym wykształceniem i czynną praktyką.

O rodzajach, takim „drzewie genealogicznym” lalek może pani mówić godzinami.

- Dokładnie, bo to „drzewo” jest naprawdę rozłożyste. Pokutuje opinia, że każda lalka to kukielka. To nieprawda, wszystko zależy od budowy i formy animacji lalki. Pacynki takie jak „Jacek i Agatka” mają bezpośredni kontakt z dłonią. Kukła prowadzona jest na kiju, marionetka na nitkach, lalkę bunraku animuje jednocześnie kilka osób (nauka poruszania jedną jej kończyną trwa kilka lat). Istnieją też lalki wykonane z innych materiałów, np. papieru, które się podpala - tzw. Teatr Ognia. Na trzecim roku studiów razem z koleżanką omal nie spaliliśmy szkoły (*śmiech*). Podpalając te papierowe konstrukcje trzeba nad nimi panować, najlepiej robić to w plenerze, my zaś robiłyśmy to w sali.

Tak naprawdę praca z lalkami jest niezwykle trudna, pomijając fundamentalne aspekty ożywiania formy - konstrukcje lalkowe potrafią ważyć i kilkanaście kilogramów. Obok technicznych trudności są też te fizyczne. Jednak za lalkami stoją niesamowite możliwości. Nie ograniczają mnie warunki fizyczne, mogę być kim zechcę, nawet roslým drwalem (co przy moim wzroście siedzącego psa raczej nie byłoby możliwe). Do tego lalka jest bardziej skromna i to mi się w niej najbardziej podoba. Można się za nią schować. Od początku towarzyszył mi syndrom, że jak najszybciej chciałam zrobić swoje i zejść ze sceny. Dzięki lalce mogę nie ujawniać namacalnie siebie. Co oczywiście nie znaczy, że gram nieprawdziwie, odstawiam takie „pitu-pitu”, jak mówimy w zawodowym żargonie. Wręcz przeciwnie, dla mnie ta gra ma sens, gdy emo-

GRZEGORZ SKOWRONEK / AGENCJA GAZETA



W spektaklu „Polowanie na łosia”

cje z mojego ciała przenoszą się na lalkę. Wchodzisz w pewnym sensie na wyższy wymiar kreacji poza swoją określoną fizjonomią.

Niemniej częstochowski teatr ze światem lalki nie ma wiele wspólnego. Jak tu pani trafiła?

- Obok zajęć z masek, pantomimy, różnorodnych animacji lalkowych miałam też normalne zajęcia z wiersza, interpretacji, scenek dramatycznych. Akurat tak ułożyło się moje życie - skończyłam wydział lalkarski i pracuję w teatrze dramatycznym. W tym leży wszechstronność tego wykształcenia. Aktorowi stricte dramatycznemu trudno byłoby zacząć nagle pracować w teatrze lalek, bo nie ma podstaw animacji. Tymczasem Wydział Sztuki Lalkarskiej wyposaża absolwentów w tytuł aktora-lalkarza z uprawnieniami aktora zawodowego, już na wstępie daje szerszy wachlarz możliwości.

Gdy w 2005 r. ukończyłam studia, priorytetem był etat. Dziś się to nieco zmienia, ale wtedy ważne było takie zabezpieczenie. Ja nie miałam pomysłu na ścieżkę zawodową w stylu „wyjadę do Warszawy”. Nie widziałam sie-

bie chodzącej na castingi. Profesor od zadań aktorskich poradził mi, żebym spróbowała swoich sił w Zielonej Górze, bo tam jest scena łączona. Jednocześnie wysłałam CV do teatrów lalkowych w Gdańsku i Krakowie, dostałam też zaproszenie od teatru dramatycznego w Radomiu i w Szczecinie. Jednak finalnie, etatowo - po spektaklu w Radomiu - wybrałam Zieloną Górę. Potem przyszła propozycja koprodukcji z teatrem w Częstochowie. W Teatrze im. Adama Mickiewicza dyr. Piotr Machalica zaproponował mi w tym czasie etat. Musiałam podjąć decyzję, nie była łatwa. Przeważała wizja komunikacji: z Częstochowy miałam bliżej do mojego rodzinnego domu. Do tego doszły jeszcze pielgrzymkowe sentymenty oraz oczywiście wysoki poziom gry moich kolegów po fachu. W imię rozwoju: zostałam. Było to w styczniu 2007 r. Mieszkam tu do dziś. Nie zakładałam, że tak długo tu zagoszczę. Życie bywa nieprzewidywalne. Po koncercie w filharmonii poznałam mojego męża i delikatnie zapuściłam korzenie... Mam ładne widoki dookoła, póki co zostaję... Zawsze mówię sobie, że skoro jestem w danym miejscu, to znaczy, że tak ma być. Szukam sensu we wszystkim, co robię.

W Częstochowie znalazła pani nie tylko męża, ale i liczone w workach grono lalkowych przyjaciół. Małych, dużych, mniej i bardziej zniszczonych. Lalki zajmują sporą część pani mieszkania, ale też piwnicy.

**KUPIĘ KAŻDE MIESZKANIE
ZA GOTÓWKĘ!
JEŻELI ZALEŻY CI
NA SZYBKIEJ SPRZEDAŻY,
DZWOŃ.
733 790 833**



Sylwia Oksiuta-Warmus

W Częstochowie zagrała m.in. w spektaklach: „Kopciuszek”, „Jaś i Małgosia”, „Tajemniczy ogród”, „Ostra jazda”, „Królewicz i Żebak”, „Plaża”, „Amazonia” czy „Patrz, słońce zachodzi”. Wystąpiła w filmach „Mniejsze zło”, „Jutro idziemy do kina”, „Mistyfikacja” i serialach: „Na Wspólnej” i „Szpital” (lekkarka Anna Nowicka). Współpracuje ze Stowarzyszeniem Hospicjum „Dar serca” – razem z podopiecznymi hospicjum stworzyła spektakl „RA-KOtwórczość”.

Kilka lat temu szłam Alejami NMP, a tu w oknie gmachu głównego biblioteki zobaczyłam lalki, takie ujmujące: nikiforowskie, ręcznie robione. Za sprawą bajek znałam dyrektorkę biblioteki, zapytałam więc, do kogo należy kolekcja. Okazało się, że stworzył je nieżyjący już Czesław Radost Siemiński, który prowadził w Częstochowie taką offową działalność artystyczną. Był aktorem rewiowym, tworzył lalki, jeździł z nimi po szkołach, parafiach, salkach itp. Spotkałam się z jego córką, panią Ludmiłą Nagłowską. Powiedziałam, że chciałabym wypożyczyć lalki, nie chcę na nich zarabiać, ale jeździć z nimi do dzieciaków. Ona nie miała ich wówczas gdzie przechowywać. Kiedyś sama prowadziła działalność podobną do mojej, teraz nie miała już na to siły. I tak dostałam kilkadziesiąt lalek, część wymagających renowacji. Przyniosłam je do domu i od razu zaległy się mole. Odrestaurowałam je i tak zaczęła się nasza przygoda. Wcześniej wypożyczyłam lalki z Teatru Ateneum w Katowii-

cach. Nie miałam jednak wówczas samochodu i podróże z nimi były wyzwaniem. Pamiętam, jak wyruszyłam gdzieś pod Częstochowę z walizką pełną lalek. W jedną stronę pojechałam PKS-em, w drugą nie było już połączenia. W efekcie wracałam autobusem wiozącym drużynę sportową. W środku sami zawodnicy, ja i lalki. Razem jeździliśmy też pociągami. Potem pojawiły się i własne lalki, i samochód – garbus zwany „Biedronką”. Niestety, musiałam go zamienić na bardziej przestronny...

Garbus trafił na okładkę „Magazynu Częstochowa”. Nasza sesja w alej brzozej wzbudziła spore zainteresowanie. We trójkę z fotografem układaliśmy lalki chyba z godzinę, opróżniając kolejne magiczne worki.

- Oj tak, lalki nieraz zadziwiała nie tylko przechodniów, ale przede wszystkim innych kierowców. Jadę w tej mojej „Biedronce”, jak to ja, w kapeluszu, tu kwiatek, tu apaszka, a wokół mnie lalki. Te największe siedziały sobie obok mnie na miejscu pasażera. Jedni kierowcy mnie pozdrawiali, inni zdziwieni zamierali, jeszcze inni stukali się w głowę, myśląc pewnie „ale wariatka”. A ja z uśmiechem, optymistycznie machałam im przez szybę.

Razem z lalkami odwiedzacie hospicjum, szpitale, domy dziecka, salki parafialne, szkoły, przedszkola...

- Na początku sama pytałam, czy możemy wpaść w odwiedziny, czasami się zapowiadałam, nigdy jednak nie pukałam dwa razy do tych samych drzwi. Jeśli ktoś nas nie oczekiwał, nie narzucałam się. Obecnie wygląda to tak, że bezpośrednio otrzymuję zaproszenia. Zwiedziliśmy już niemal całą Częstochowę, jeździliśmy w region, do Koszęcina czy Koziegłowa, do Katowic, Krakowa i na moje Podlasie. To, że mam tyle lalek, ma znaczenie, bo gdy spotykam się z dziećmi chcę, żeby każde chwyciło swoją. Nigdy nie zaczynam zająć od słów „tylko mi ich nie połamcie”. Wielokrotnie wymieniałam już kijki, nie ma co kryć, te

lalki są po przejściach. Ale żyją, sprawiają frajdę innym, czują się w pewnym sensie potrzebne. Zresztą lalki są bardzo cierpliwe, wytrzymałe i taktowne, i naprawdę dużo zniosą. Gdy dzieci się nimi bawią, ma to swój urok. U dorosłych zdarzają się sytuacje irytujące. Tacy chwycą lalkę po raz pierwszy w życiu i już wydaje im się, że potrafią ją prowadzić. To tzw. hochsztaplerzy animacji. Jak każde rzemiosło, i praca z lalką wymaga praktyki, a sztuka – przypisanej sobie uwagi. Taka jest moja zawodowa opinia.

Lalki przemycą pani w przeróżnych okolicznościach. Szczególnie głośno było o tych, które wystąpiły w pani monodramie „SKAZANA” wystawianym w 2012 r. na scenie, a właściwie pod sceną częstochowskiego teatru.

- Grałam na podsceniu. Sama napisałam scenariusz. Zaistniały tam różne techniki lalkarskie (pacynki, jawajka, manekin, lalka typu mapet, teatr cieni, metoda piaskowa). Rzecz dotyczyła wykorzystywania seksualnego dzieci (autentyczna historia z jednego ośrodka, do którego chodziłam z lalkami właśnie). W monodramie nie oszczędzałam w słowach, nie zamiatałam pod dywan. Projekt realizowałam dzięki stypendium prezydenta miasta. Było to wyzwanie, spory wysiłek emocjonalny. Jednak osoby, które znają ten temat z autopsji, mówiły, że tak to właśnie wygląda. I te opinie były dla mnie najważniejsze. Potem jedna z lalek mi zginęła. Znalazłam ją po czasie, ale szybko nie powrócę do podobnej realizacji. Lalki staram się też przemycać w innych sytuacjach. Gdy kręciłam pierwszy odcinek serialu „Szpital”, zaproponowałam, że wyjdę do małego pacjenta z pacynką, tak „przypadkiem” mam ją ze sobą na oddziale dziecięcym. Pomysł w tej formie się nie przyjął, ale pozwolono pediatrze założyć czerwony nos clowna. I od razu było radośniej w szpitalnej rzeczywistości.

Tylko po co to wszystko?

- W Częstochowie brakuje teatru lalkowego, teatru dla dzieci (choć lal-

ki nie są tylko dla najmłodszych, to kolejny stereotyp). Staram się ocalić je od zapomnienia, jakby górnolotnie to nie brzmiało. Sprawia mi to wewnętrzną frajdę. W naukę animacji lalek zainwestowałam sporo swojego czasu, teraz chcę się tym dzielić. Dodatkowo tu sama jestem sobie dyrektorem, mogę decydować co, kiedy i komu pokazuję.

Praca w teatrze, kolejne studia, zdjęcia na planie „Szpitala”... Nie lubi się chyba pani nudzić?

- Szkoda życia na nic niewnoszącą nudę. Mam wiele planów i pasji. Nie chcę wyjść na kogoś pokroju Leonarda da Vinci, bo aż tak wszechstronna nie jestem (*śmiech*). Nie zajmę się nagle fizyką kwantową, ale szukam dziedzin pokrewnych, które się przenikają. Ukończyłam scenariopisarstwo w Krakowskiej Szkole Filmu i Komunikacji Audiowizualnej. Mam gotowy scenariusz filmu „Niewidoma” o niewidomej dziewczynce żyjącej w podlaskich, prawosławnych realiach. Czeka na swój czas. Wiedzę wykorzystuję też, przygotowując scenariusze na zajęcia warsztatowe z dziećmi, młodzieżą, dorosłymi. Z kolei na Wydziale Wychowania Artystycznego (dziś Wydziale Sztuki) Akademii im. Długosza ukończyłam studia podyplomowe: terapię pedagogiczną z arteterapią. Pracuję też z podopiecznymi z różnymi dysfunkcjami – ta praca obecnie daje mi chyba największe wewnętrzne spełnienie, taką nadrzędną satysfakcję. Teraz marzy mi się jeszcze dziennikarstwo reportażowe, neurologopedia.

Aktorstwo to momentami niewdzięczny zawód. Lubię go, ale nie jestem całkowicie zakręcona na tym punkcie. Myślę, że odnalazłabym się też w innej rzeczywistości. Tęskniąc za czymś, można robić przecież inne wartościowe rzeczy. A ja nie powiedziałam jeszcze ostatniego słowa, zawsze coś konstruktywnego wynajdę. Życie to droga także „dopokąd idę...” – ważne, by to, co robię, miało sens. Nie tylko dla mnie. ●

ROZMAWIAŁA ZUZANNA SULIGA

- Zawsze chciałam mieć swoją lalkarską kolekcję. Wzięła się ona trochę z bajek. Czytałam je dzieciom po różnych filiach częstochowskiej Biblioteki Publicznej.